

„BO MNIE NAPRAWDĘ TAK NAJBARDZIEJ INTERESUJĄ CI, KTÓRYCH JUŻ NIE MA”

Z Anną Bikont rozmawia Katarzyna Kuczyńska-Koschany



phot. Mateusz Skwarczek/Agencja Gazeta

Katarzyna Kuczyńska-Koschany: Zaczniemy rozmowę od historii Pani pisania. Najpierw pojawia się Pani w duecie z Joanną Szczęsną. Te reportaże, książki, one są porywające: *Pamiętkowe rupiecie...* – o Szymborskiej, *Limeryki...*, *Epitafia, czyli uroki roztaczane przez niektóre zwłoki...* Tam była skłonność do rymu, lekkości, prawda? „Stal się leje, moc truchleje”. Nawet gdy poruszały Panie sprawy ważne – jak w reportażu o Dominiku, autystycznym chłopcu – pisanie było inne, taki duet psycholożki i polonistki?

Anna Bikont: Jeżeli chodzi o moje pisanie od początku: nigdy nie miałam żadnej, ale to żadnej skłonności do pisania. Większość ludzi chyba pisze w młodości wiersze, pamiętniki, marzy, żeby zostać pisarzem, to ja nigdy nic. Moja mama była dziennikarką, uważałam, że to jest powierzchowne zajęcie. Skończyłam psychologię, uczyłam się psychoterapii, to mnie naprawdę interesowało. Przypadkiem musiałam zacząć pisać, ponieważ trafiłam do „Tygodnika Mazowsze”, podziemnego pisma „Solidarność”, ale przez osiem lat pracy w „Tygodniku” czułam się działaczem „Solidarności”, oddelegowanym na odcinek prasy [*śmiech*]. To nie tak, że chciałam być w „Tygodniku”. Szukałam kontaktów do podziemia, bo chciałam pomóc ukrywającemu się Zbigniewowi Bujakowi, szefowi „Solidarności” regionu Mazowsze. Nie traktowałam tego jako pracy dziennikarskiej, zresztą w „Tygodniku” pisaliśmy bardzo krótkie teksty. Bujak żartował z nas: „Co to jest słupek telegraficzny? To jest drzewo zredagowane przez «Tygodnik Mazowsze»”.

Bardzo ładne...!

Trafiłam do „Gazety Wyborczej” dlatego, że nasz zespół – „Tygodnika Mazowsze” – zaczął robić „Gazetę”. To było fascynujące jako wydarzenie polityczne, nie dlatego, że pociągało mnie pisanie do gazety. Najpierw byłam sprawozdawcą parlamentarnym, potem zaczęłam robić wywiady i pisać reportaże. Zawsze wolałam wywiady, lubię rozmawiać z ludźmi i uważam, że w tym byłam naprawdę dobra. Joanna Szczęsna mnie ciągnęła w stronę pisania, bo ona jest polonistką i zawsze lubiła pisać, walczyć ze słowem. Joasię bawią zabawy literackie, ja szłam za nią. Razem napisaliśmy biografię Wisławy Szymborskiej, książkę *Lawina i kamienie* – to był pomysł Adama Michnika – o pisarzach, którzy byli zaangażowani w czasie stalinizmu, a potem przeszli do opozycji. W 1995 roku Marcel Łoziński zaproponował, żebym zrobiła podpisy pod zdjęcia do albumu *I ciągle widzę ich twarze*. Zaczęłam jeździć po miejscowościach, skąd były zdjęcia, pytać ludzi, rozma-

wiać. Wtedy poczułam, że to jest dokładnie to, co chcę robić.

To był jakiś rodzaj cezury, granica?

Tak. Pamiętam rozmowy z osobami, które przysłały piękne fotografie. Bo niektóre zdjęcia były takie zwykłe, klasowe. Ale niektóre – pozowane, w studiu fotograficznym. Po trzeciej, czwartej rozmowie mój rozmówca zaczął płakać: „Ten pan to jest mój wujek”; „Ten pan to jest mój ojciec”. Chcieli podarować zdjęcia, bali się je trzymać w domu, bali się, że ktoś zobaczy, mąż, dzieci. A jednocześnie to były zdjęcia, do których te osoby były ogromnie przywiązane. Myślałam wtedy, żeby napisać dalszy ciąg tych historii, pracowałam w „Gazecie” bardzo intensywnie, więc tylko o tym myślałam. I później, gdy Jan Tomasz Gross napisał książkę *Sąsiedzi*, chciałam napisać reportaż do „Gazety” o miasteczku skonfrontowanym po 60 latach milczenia ze zbrodnią. A potem to mnie tak bardzo wciągnęło, że spędziłam cztery lata na pisaniu *My z Jedwabnego*, i właściwie już od tej pory pracuję nad Holocaustem.

I tu chciałabym zapytać o *My z Jedwabnego*, bo to chyba jest taki moment emancypacji. Nie pisze Pani zadaniowo, do gazety. Miałam wrażenie, czytając tę książkę, że jest najważniejszą, jaką napisano o Jedwabnem, i najodważniejszą: uderza w obsesję polskiej niewinności. Jesteśmy wychowani w micie ofiarniczym, książka nuci ten mit, pokazuje zachowania Polaków wobec Jedwabnego. Chcemy uczestniczyć w tym, co uważamy za heroiczne, w Westerplatte, a nie w Jedwabnem, które też jest naszą wspólną historią i grozą. Pod koniec książki Pani cytuje Jacka Kuronia, który już śmiertelnie chory ją czyta i mówi, że był niby przygotowany, a miał trudności. Jak się tę książkę pisało i czy wie Pani, po jej napisaniu, dlaczego Polacy nie chcą uczestniczyć w obu stronach polskości?

Najpierw jedno sprostowanie. Najważniejszą książką o Jedwabnem była oczywiście książka Jana Tomasza Grossa *Sąsiedzi*, bo on to zaczął...

Najważniejszy to może Gross, ale najodważniejsza, to bym jednak powiedziała, że Pani książka...

Nie, wydaje mi się, że książka Grossa jest niesamowicie odważna. Ona przełamuje coś bardzo ważnego w pisaniu o historii, ustawia żydowski los jako podstawową jednostkę do badania Holocaustu...

Podstawowe kryterium.

Tak. A przedtem to byli sprawcy: Niemcy albo machina Zagłady. Gross to przełamała, to była wielka intelektualna odwaga, ja poszłam za nim. Zachwyciło mnie w jego książce, że on znalazł język, by to opowiedzieć, i że w centrum opowieści są zamordowani. A nie to, czy to dobrze dla Polski i czy przyjmą nas do NATO, jak się to okaże, co na przykład różne osoby w „Gazecie” uważały za rzecz podstawową i nie chciały, żebym tam pisała o Jedwabnem.

Pisanie tej książki rzeczywiście było trudne. Z wielu powodów. Najpierw dlatego, że ja się wcześniej specjalnie nie zetknęłam z antysemityzmem. W 1968 roku miałam 13 lat, nie doznałam sama żadnych przykrości. I dopiero w Jedwabnem zetknęłam się z nienawiścią do Żydów, którzy tam zginęli. To było porażające. Ja po prostu tego przedtem nie widziałam. I jeszcze ten softantysemityzm, też wcześniej go nie zauważałam w takim stopniu.

Te wszystkie eufemizmy...

Te wszystkie eufemizmy... To, jak różne osoby w „Gazecie”, różni moi znajomi byli niezadowoleni, że się tym zajmuję, i pytali: „Po co to?”. Że to tylko szkodzi. Więc po co ją trzyć? To jest największy problem, gdy myślę o Polsce, nie ostry antysemityzm, bo ten jest udziałem skrajnej prawicy, a ona jest wszędzie na świecie i tym bym się tak bardzo nie przejmowała. Natomiast to, co widzę jako dojmujące, zwłaszcza że Holocaust stał się tu, na tej ziemi, to brak empatii: w ogóle nie myśli się o ofiarach, tylko o tym, jak Polacy na tym tle wypadną. Gdy się nie ma empatii wobec ofiar i tylko się myśli, jak Polacy wyglądają, to wypadają w Jedwabnem źle, więc Jedwabne to temat niewygodny. Oczywiście, że taki jest: ale czy mamy się konfrontować z niewygodnymi tematami, czy je zamiatać pod dywan? Mnie się wydawało po napisaniu książki o Jedwabnem – miałam bardzo dobre spotkania autorskie, dużo życzliwości – że się otwarliśmy, że odważnie stawiamy czoło trudnym faktom. Uważałam, że to już mamy przepracowane, że to będzie szło dalej. No, ale – jak widać – wszystko, co zostało otwarte, można na nowo zamknąć; wszystko, co zostało powiedziane prawdziwie, można na nowo zakłamać.

Pani jakby samym tytułem sugerowała, że to jesteście „my z Jedwabnego”, my wszyscy, że powinniśmy w tym uczestniczyć, dlatego że część spośród nas zrobiła to, co zrobiła. Książka się przebiła, miała kolejne wydanie. I wydaje mi się, że ona silnie funkcjonuje jako książka

mówiąca prawdę. W jakimś sensie broni się sama, chociaż wyobrażam sobie, co Pani musiała przeżywać w różnych momentach konfrontacji. Ale rozumiem, że jest coś większego, co jest tego warte. To wydrążenie kreckiego tunelu, mówiąc Miłozsem, w tym antysemityzmie ludzi łagodnych i dobrych, jak to kiedyś Mazowiecki nazwał. Jakaś osobna wartość. Pani pisanie jako całość, jako pewien rodzaj obcowania ze światem jest odważne, bezkompromisowe, ale jest też poparte mrówczą pracą. Policzyłam, w *Sendlerowej* jest prawie tysiąc przypisów [śmiech A.B.]. To jest więcej niż rzetelność czy uczciwość reporterska. Czy Pani mogłaby opowiedzieć o swoim warsztacie?

To na pewno jakoś się ma do tego, o czym mówiłyśmy na początku, że nigdy nie miałam skłonności do pisania. Kiedy już to wszystko nabieram, nie wypada mi z tym nic nie zrobić, nie napisać. Ale to, co naprawdę lubię, to rozmawiać z ludźmi i siedzieć w archiwach. To są moje wielkie przyjemności. A jeżeli chodzi o warsztat, co mi się rzeczywiście dobrze udaje, jak w *My z Jedwabnego*, to łączenie źródeł archiwalnych ze źródłami ustnymi. *Oral history* powoli się przebija, ale jest ciągle jeszcze wielu historyków, którzy korzystają tylko ze źródeł archiwalnych. Z kolei wielu dziennikarzy pisze świetne reportaże, ale nie wpadnie im do głowy, żeby spędzić wiele miesięcy – bo to jest żmudna praca – w archiwach. Ja to zobaczyłam w Jedwabnem: ludzie coś mówili i właściwie nie sposób było tego zrozumieć. I potem, kiedy siedziałam w archiwach i przedzierałam się przez archiwalia z tego czasu, z tego regionu, to nagle coś mi zaskakiwało, nagle wiedziałam, o co chodzi. Na tym polega przyjemność łączenia źródeł. Kolejne osoby opowiadały, że one po masakrze 10 lipca przechowywały ludzi, i podawały ich nazwiska. To w ogóle nie zgadzało się, ale też było bardzo dziwne, że podają konkretne nazwiska. Jak to się mogło zdarzyć, skoro potem już w Jedwabnem było getto, czyli jeden dom dla tych 100 Żydów, którzy przeżyli, nazywał się gettem, i oni nie musieli się ukrywać. Na dodatek opowiadały mi to osoby, które wygłaszały bardzo antysemickie teksty albo o których wiedziałam, że ich rodzina brała udział w mordowaniu. I dopiero czytając kolejne dokumenty, przypadkiem trafiłam na to, co przecież działo się w całej Polsce i co w ogóle nie było opowiedziane: Niemcy wynajmowali Żydów Polakom do pracy, do getta wracali Żydzi w niedzielę. Opłacało się to wszystkim: Polakom, bo mieli bezpłatną pomoc, tylko dawali Żydom raz dziennie albo dwa razy coś do jedzenia; Niemcom, bo nie musieli pilnować Żydów; Żydom, bo to jednak było o wiele lepiej niż w getcie, móc pracować i cokolwiek zjeść. Czyli miesz-

kańcy opowiadali o Żydach, których wynajęli do pracy, jako o przykładzie swojej szlachetności, że ich ukrywali. To, co się zdarzyło między Polakami a Żydami w czasie Holokaustu, było słabo rozpoznane, kiedy w 2000 roku zabrałam się do pracy. Teraz to w ogóle jest nieporównywalne, dzięki Centrum Badań nad Zagładą Żydów – nasza wiedza przyrasta lawinowo. Wtedy to kompletnie nie było wiadomo. Żydzi po prostu przed wojną istnieli i potem nagle giną trzy miliony w Auschwitz. I to było wszystko. Za każdym razem, kiedy czegoś nie rozumiałam ze źródeł historycznych, na podstawie moich rozmów byłam to w stanie wyjaśnić. Ta konfrontacja dwóch źródeł, ile daje ich łączenie, to mnie zachwyciło.

A przy Sendlerowej?

Też nie dałabym rady napisać tej książki, gdybym nie konfrontowała źródeł, ale niestety już miałam mniej źródeł ustnych. Co ja robiłam przedtem, przez 50 lat, kiedy jeszcze tyle osób żyło? Powinłam się o wiele wcześniej do tego zabrać. Świadców jest coraz mniej. Ale nawet pojedyncze rozmowy ze świadkami, których jest już niewielu, też pomogły mi w konfrontacji...

Wielokrotnie w *Sendlerowej* weryfikuje czy rewindykuje Pani pewne rzeczy. Powtarzane wiele razy – wydawałoby się – prawdy okazują się półzmysłem, zmysłem, nawarstwieniem.

Zawsze część historii opowiadanych o Holokauście jest nieprawdziwa i służy przykrywaniu prawdy. W przypadku Ireny Sendlerowej to było i świadome, i nieświadome. To było tak straszne, co ona przeżyła, co widziała, co usłyszała od innych Polaków w sprawie Żydów, że nie była w stanie radzić sobie z tymi swoimi wspomnieniami, zresztą mówiła, że nie może w ogóle spać w nocy. Tyle lat po wojnie! Że musi być ktoś blisko, bo ma koszmary. I w związku z tym ona przykrywała swoje wspomnienia płaszczem takich sentymentalnych, łzawych, nieprawdziwych opowieści. To nie jest fenomen Sendlerowej. Ta sentymentalizacja Holokaustu jest udziałem wielu Żydów, którzy przeżyli Zagładę i nie są w stanie mierzyć się ze swoimi prawdziwymi wspomnieniami. A im historia bardziej nieprawdziwa i bardziej sentymentalna, tym większy znajduje poklask publiczny i staje się historią dominującą.

Mogę podać konkretny przykład. Sendlerowa opowiada, jak ona jeździ po dzieci do getta, z kierowcą z Wydziału Sanitarnego w Zarządzie Miasta. I jest problem, że te niemowlaki, które są w skrzyneczkach, płaczą, więc

kierowca bierze wilczura, naciska mu na łapę przy bramie, pies szczeka i Niemcy ich przepuszczają, bo nie słyszą tego płaczu. Oczywiście, dla mnie, która trochę czytałam o Holokauście, to jest historia z gatunku „bajka”.

Zrobię taką dygresję. Jest bardzo łatwo napisać, że coś jest. Na przykład: mamy informację, że Sendlerowa uratowała dwa i pół tysiąca dzieci, zakopała listę, po wojnie oddała ją sekretarzowi Żegoty Adolfowi Bermanowi, ta lista jest w kibucu Bohaterów Getta, co mówiła sama Sendlerowa i opisała jej biografka. Samo stwierdzenie faktu, czy ona jest, zajmuje 15 minut. Pisz się list: „Szanowny Dyrektorze Kibucu Lochamej ha-Getaot, zajmuję się Ireną Sendlerową, uprzejmie proszę o przesłanie nam tej listy”. Natomiast pokazanie, że czegoś nie ma, to ogrom pracy, to oznacza sprawdzenie wszystkich list na świecie, które istnieją po Holokauście, zbadanie wszystkich możliwych archiwów, gdzie te listy mogłyby się znajdować, sprawdzenie wszystkich osób, które by mogły mieć coś wspólnego z taką listą, czy one cokolwiek o tym pisały.

I teraz jak sprawdzić historię kierowcy sanitarki Antoniego Dąbrowskiego, czy jest prawdziwa, czy nie? Bardzo trudno. Dzięki temu, że siedzę w archiwach, wiem, że Sendlerowa przekazała w 1963 roku do Żydowskiego Instytutu Historycznego listę 29 osób, z którymi współpracowała. Nie ma go tam. Pierwszy raz trafiłam na jego ślad w wywiadzie-rzecz z lat 90., gdy Sendlerowa opowiadała, kto mógł się domyślać, co ona robi, z kręgu ludzi z Zarządu Miasta. I wymienia Dąbrowskiego. Opowiadała o nim dalej, ale bez związku z sobą samą, że przewoził psa i nadeptywał mu na ogon przy przekraczaniu wachy, żeby nie słycać było płaczu przewożonego dziecka. Dopiero w liście do uczennic z Kansas z 2000 roku pojawia się opowieść o wspólnym przewożeniu dzieci w towarzystwie psa.

Ale to tropy, które odkrywam powoli, to trwa. Długa, żmudna praca. Trochę detektywistyczna...

Śledztwo takie.

Tak, i trochę łut szczęścia, że się znajdzie. Zawsze szczęście w znajdowaniu czegoś wiążę się, oczywiście, z pracowitością. Mam jednak szczęście.

Te historie, prawdziwe i nieprawdziwe, krążą dalej, bo Sendlerowa stała się ikoną ratowania Żydów. I powstają książki dla dzieci, ostatnio *Anny Czerwińskiej-Rydel Listy w butelce*, komiks francuski czworoga autorów, w którym rysują tę historię o przejeżdżaniu z psem

i z dziećmi. To idzie w świat. Pani pokazuje w książce błędy z haseł dotyczących Sendlerowej. Jak Pani to odbiera, że wysiłki śledcze nie mają przełożenia na wiedzę powszechną?

Na to nie ma rady. To, co ja piszę, jest trudne, jest wymagające; piszę, że Sendlerowa działała samotnie, że działała przeciwko otoczeniu, że za dziećmi uganiały się setki szmalcowników, którzy chcieli donieść na dziecko, co równało się jego zabiciu. I było dość powszechnym zjawiskiem. Opisuję tę niesamowitą scenę dotyczącą Michała Głowińskiego, jak jakieś paniusie w kawiarni, między jednym kęsem ciastka a drugim, zwykle panie siedzące w kawiarni, są gotowe wydać żydowskie dziecko. Opisuję, jak na każde z tych moich dzieci w jakimś momencie donosi inne dziecko. Cieszę się, że w ogóle ktoś to chce przeczytać, ale żebym miała nadzieję, szczególnie w dzisiejszym klimacie politycznym, kiedy mamy być dumni, że jesteśmy Polakami, by to się przebiło, to nie. Jeśli wziąć łączny nakład wszystkich książek, które próbują zmierzyć się z prawdą o czasie Holokaustu – Grossa, Centrum Badań nad Zagładą Żydów, moich – z oglądalnością telewizyjnego serialu o Sprawiedliwych, to gdzie to porównywać. Czytałam, że za pierwszym razem serial miał pięciomilionową widownię. Oglądałam jeden odcinek – to nie ma nic wspólnego z rzeczywistością okupacyjną; łzawe, nieprawdziwe historie, które mają służyć głaskaniu polskiego ego.

A jednocześnie to jest historia życzeniowa, którą się populistycznie sprzedaje. W tym sensie przedostawanie się takich książek do szeroko pojętego obiegu edukacyjnego byłoby sprawą niezwykle ważną, a to jest w Polsce blokowane...

Był taki czas, kiedy w podręcznikach historii było Jedwabne. Teraz każdy się zastanowi dziesięć razy, czy to wymienić, wiadomo, że wtedy nie dostanie dofinansowania.

Wracając jeszcze do warsztatu: ciekawe są tytuły Pani książek. *Sendlerowa. W ukryciu* – jest wieloznaczny: mówi o konspiratorce, ale też o kobiecie, która w swoim życiu wiele rzeczy musiała ukrywać. Chociażby piękna historia miłosna z Adamem Celnikiem, któremu wymyślała anagram, „ukrywała” go przed innymi. I były przecież takie momenty, kiedy mówiła otwarcie, że chciałyby być Żydówką, „należeć do tego wspaniałego narodu”, co jako narracja polska jest zupełnie unikatowe. Czy te tytuły pojawiają się na końcu, wynikają

z tego, co napisane, czy raczej ma Pani zamysł wiążący i według niego pisze?

Nie, właśnie marzyłabym przy każdej książce, żeby po prostu mieć strukturę. Zawsze sobie tak myślę: że jakiś tytuł, że struktura, i nigdy to się potem nie ma do tego, co robię i przerabiam po dziesięć razy. Tytuł *My z Jedwabnego*, który mi wymyślił Tadeusz Słobodzianek, właściwie powstał na samym końcu, byłam całkowicie zrozpaczona, bo już trzeba było drukować tę okładkę, a ja nie miałam tytułu. W sprawie *Sendlerowej* też: ja zaczęłam od zupełnie innej książki. To mi zabrało wiele lat. Chciałam napisać książkę o dzieciach, które nie przeżyły. Bo mnie naprawdę tak najbardziej interesują ci, których nie ma. Pomyślałam, że napiszę o dzieciach, którymi się bardzo dobrze zaopiekowano, a mimo to nie przeżyły, pokażę tę groźbę: ilu na takie dziecko czyhało ludzi, którzy je chcieli wydać. Wezmę Referat Dzieciocy „Żegoty” i Irenę Sendlerową. Potem się jednak okazało, że ci, którzy nie przeżyli, są straszliwym tabu, szczególnie dzieci, i one się stają bezimienne. Jeśli się mówi, że ktoś nie przeżył, to nie wymienia się jego nazwiska. Nie byłam w stanie tego opowiedzieć, więc pomyślałam, że napiszę historię dzieci, które przeżyły, i poprzez nią będzie widać, jaki to jest cud, przypadek, i że można sobie wyobrazić, ile dzieci nie przeżyło. Zaczęłam spisywać te historie. I od razu myślałam, że to będzie w kręgu Sendlerowej, żeby była jakaś nić wiążąca. Wzięłam rodzinę Głowińskich, Wojdowskich, Elżbietę Ficowską, osoby, o których wiadomo było, że są z kręgu Sendlerowej. Renatę Skotnicką-Zajdman, która w różnych programach telewizyjnych mówiła, że ją uratowała Sendlerowa. To była moja pierwsza rozmówczyni, do której pojechałam do Kanady. I miałam tę strukturę książki taką, że to są opowieści o dzieciach, a potem rozdział na końcu – po tej opowieści, jak trudno jest uratować każde dziecko. I będzie jasne, że uratowanie dwóch i pół tysiąca jest jakąś fikcją. I wreszcie, że będzie rozdział o polityce historycznej, taki eseistyczno-publicystyczny. I że przecież kto ratuje jedno dziecko, ratuje cały świat, i że niepotrzebne jest dodawanie liczb i mnożenie historii, nieprawdziwych i sentymentalnych. Ale gdy nad tym usiadłam, zobaczyłam, jak bardzo Sendlerowa jest autorką tych wszystkich, powiedzmy, mistyfikacji. I ona sama mnie bardzo zainteresowała. To jest rzeczywiście barwne i ciekawe. Bo jak ktoś nic nie robił i jest wybitnym hochsztaplerem, to też jest ciekawe, ale nie aż tak. Natomiast osoba, która każdy dzień swojego życia ryzykuje, żeby ratować Żydów, i to jest niesamowicie bohaterkie, jednocześnie potem opowiada o tym historii, które bardzo słabo przystają do tego, co naprawdę się działo – to jest rzeczywiście ciekawe. I im bardziej szukałam, tym bar-

dziej ona okazywała się osobą kompletnie inną, niż sobie to wyobrażaliśmy, widząc postać tej miłej, starszej pani...

...i takiej upomnikowanej...

...ubrażonej... Jak ona przed wojną pracowała z prostytutkami, jaką była odważną pracownicą społeczną, jak była lewicowa, jak była...

...feministyczna...

Tak, z takiego, powiedzmy, pierwszego pokolenia feministek, że feminizm się łączył z tym, że miało się tak strasznie dużo żalów do mężczyzn jako gatunku. Mówiła Sendlerowa nawet, że, jej zdaniem, to nie jest ten sam gatunek.

I Sendlerowa zajmowała coraz więcej miejsca w książce, ale i tak cały czas uważałam, że to jest książka o dzieciach. Było też coś, co mi zaczęło rozsądzać książkę, ta cała grupa kobiet wokół Sendlerowej. One są fascynujące. Szczególnie postać Jadwigi Piotrowskiej, przez której dom przewinęło się 50 żydowskich dzieci, zupełnie nieznanej, fantastycznej. Nie dość, że postać Sendlerowej zaczęła zajmować dużo miejsca, to szkoda mi było nie opowiedzieć o tych kobietach, bo pomyślałam, że jeśli ja ich nie wyciągnę z cienia, to nie wiadomo, czy ktoś to zrobi. I w związku z tym te opowieści o dzieciach, które są istotną częścią książki, jakby nie tworzyły już spójnej całości, bo były przeplatane innymi opowieściami i było bardzo trudno to skomponować.

Przestały być takimi studiami przypadku?

Tak... Także to mi zajęło bardzo dużo czasu. Ale cały czas myślałam, że bardziej piszę o dzieciach. Bo tytuł *W ukryciu* przyszedł do głowy jako jeden z tytułów i potem coraz bardziej sobie myślałam, że to jest i o tych dzieciach, i o Sendlerowej. Ale jeszcze myślałam, żeby nie dawać *Sendlerowej*, że może w podtytule, a może jednak nie, żeby książka się broniła sama, a nie postacią Sendlerowej. Potem Czarne mnie zapytało, czy to ma być w serii Reportażu, czy Biografii, gdy już była gotowa książka. Dla mnie na początku było oczywiste, że reportaż, ale potem zaczęłam oglądać okładki i spodobała mi się seria biograficzna, że jest takie pół twarzy, wielkie litery na grzbiecie... Bardzo mi się spodobała ta seria i powiedziałam: „biografia”. W momencie, kiedy to powiedziałam głośno, uprzytomniłam sobie, że ja przecież napisałam biografię Sendlerowej. Ale przedtem nie miałam świadomości, to była długa droga.

Kiedy nie zna się perypetii powstawania książki, to wydaje się ona bardzo świadomie skomponowana. Pamiętam swoje zdziwienie, że właśnie nie zaczyna się od Sendlerowej, tylko jak *Pani Bovary* Flauberta, która nie zaczyna się od postaci pani Bovary i nie kończy na niej. U Pani zaczynamy od kogoś, kto wiąże się z Sendlerową, kogoś najważniejszego, od dziecka, i kończymy na odczytaniu listy uczestników, na podziękowaniach, które Pani składa. Pisze Pani sama, autorsko, a jednak zawsze inne osoby uznaje za współautorów, te osoby, które Pani pomagały.

Rozmówcy są zawsze współautorami książki...

A Sendlerowa jest jakby w środku, w soczewce tej książki, i te ramy są takie, przepraszam za to skojarzenie, flaubertowskie...

Nie ma co przepraszać – Flaubert jest moim ukochanym pisarzem.

Tak? Moim też! Być może on nas uczy kompozycji? Jak powinno się pisać? To jest w Pani książce ciekawe, że ona jest od początku nieoczywista. Od tytułu. Bo jak się pomyśli o poprzednich tytułach, to one wynosiły Sendlerową na piedestał, podwyższały styl: *Matka dzieci Holokaustu*, *Matka Jolanta od tonących* czy *Ta, która ratowała Żydów*. To wszystko w dobrej wierze, ale brakuje prawdy o osobie. Piotr Śliwiński przy ogłaszaniu Poznańskiej Nagrody Literackiej powiedział: „biografia, nie hagiografia”, co oddaje charakter książki, demitologizację, próbę unormalnienia Sendlerowej. A jednocześnie Pani stawia tezę, z którą się zgadzam: wystarczy zauważyć, że Sendlerowa była zawsze lewicowa, że była etymologiczną socjalistką, i te puzzle się układają.

Tak. Problem polega na tym, że w Polsce dobieramy sobie bohaterów do potrzeb, prawda? I teraz jest potrzeba katolickiego bohatera, który ratował Żydów. To sama Sendlerowa mówiła: jestem narodowym alibi po Grossie...

Potrzebna jest ikona po Jedwabnem.

Ona była szalenie przytomną osobą i to wiedziała. Jakoś się wpasowała potem w to, na co było zapotrzebowanie. Sendlerowa była bardzo pod wpływem swojego ojca, mimo że on umarł, kiedy miała siedem lat. To była dla niej

¹ Kilka dni po naszej rozmowie książka zdobyła nagrodę im. Ryszarda Kapuścińskiego za reportaż literacki i została nominowana do Nagrody Literackiej „Nike”.

postać, która stała się jakby przewodnikiem w jej życiu. Był związany z PPS-em lewicowym ateistą, który nie chciał ochrzcić swego dziecka, co jednak bardzo rzadko [śmiech]...

...wtedy zwłaszcza...

...się zdarzało. Mama ją ochrzciła, kiedy Irena miała siedem lat. Po pierwsze, ojciec umarł; po drugie, żeby mogła pójść do szkoły, trzeba było przecież mieć jakieś świadectwo. Ona zawsze miała lewicowe poglądy, to znaczy przed wojną nie komunistyczne, ale PPS-owskie. Wolna Wszechnica Polska, która też ją wychowała, instytucja niezależna II RP, gdzie nie było getta ławkowego, gdzie w ogóle traktowano wszystkich jako współobywateli. Ta idea współobywatelskości była jakąś podstawową wartością i to też pchało Sendlerską do lewicy, bo tam właśnie ona znajdowała tę ideę, że ludzie są pierwotnie równi. W Wolnej Wszechnicy 30 procent osób było Żydami, to się działo w naturalny sposób – jej najbliżsi przyjaciele byli Żydami. Najbliższa przyjaciółka, Ewa Rechtman, była Żydówką. To było jej oczywiste środowisko – byli dla niej takimi Polakami jak ona. I myślę, że ta współobywatelskość była wyznacznikiem, który powodował, że lewica stała się dla niej tak atrakcyjna. I jak opisała – w świadectwie złożonym do kibucu Lochamej ha-Getaot, pewnie Adolfowi Bermanowi (sekretarzowi Żegoty), który przekazał do kibucu Bohaterów Getta swoje archiwum – kto pomagał, to w pierwszym punkcie z czterech wymieniła ludzi lewicy, PPR-u. Duża część jej środowiska pomocowego była lewicowa i coraz więcej komunistów spotykała na swojej drodze, gotowych do pomocy Żydom, co w ogóle nie było przypadkiem. Oczywiście, zdarzało się, że antysemitę też pomagali Żydom, ale to były raczej wyjątki niż reguła.

Traktowali to wtedy jako stan wyższej konieczności...

To, co robiła niezwykle szlachetna i odważna Zofia Kossak-Szczucka – pochylenie się nad obcym losem, ale bez żadnego pomyślenia, że to jest po prostu człowiek i że to jest współobywatel. Kossak-Szczucka przecież nie weszła do Żegoty, kiedy się okazało, że Polacy i Żydzi będą w niej wspólnie, dla niej było to nie do przyjęcia, mimo że pomagała dalej ofiarom Żydom. Sendlerska przesuwa się jeszcze bardziej na lewo; tak mi się wydaje – im więcej ma znajomych komunistów, którzy pomagają Żydom, tym bardziej widzi, jak komuniści ich traktują, po prostu jako towarzyszy, a nie jako szcztuch Żydom, którym trzeba pomóc, bo my Polacy, bo nasze wartości chrześcijańskie każą pomagać, nawet gdy ich nie lubimy...

To lewicowe pomaganie jakby nie jest wyższościowe...

Nie jest. I to przesuwa Sendlerską coraz bardziej na lewo. Bo już w czasie wojny są kolejne rozłamy PPS-u i zawsze jest rozłam bardziej na lewo, aż wreszcie ten rozłam, jakby sprzeczny z Polskim Państwem Podziemnym, bo jest za współpracą z PPR-em. I ona już jest w tym, po wojnie wstępuje do PPR-u. Po pierwsze, to jest sprawa stosunku do Żydów, po drugie – ten rozmach po 1945 roku, że można wszystko zmienić, przeorać, że może jakiś nowy system opieki społecznej wprowadzić, że nie będzie analfabetyzmu – skala tych przemian ją zachwyca, porywa...

Ona w to wierzy po prostu?

Ona w to wierzy. I tu są dwie bardzo ciekawe rzeczy. Sendlerska była bardzo wysoko w strukturach partyjnych. Na początku okresu stalinizmu była przewodniczącą komisji socjalnej w Komitecie warszawskim PZPR i członkiem komisji socjalnej w Komitecie Wojewódzkim PZPR. Mało było kobiet, które miały tak wysokie rangi partyjne. To jest tak kompletnie sprzeczne z tym, czego my dziś potrzebujemy od bohaterów. Idealny polski bohater musi równo cierpieć w kazamatach SB i w katowni gestapo. I Sendlerska opowiadała tę historię, że ją tak brutalnie przesłuchiwało SB, że straciła dziecko. To nie jest możliwe, by ją brutalnie przesłuchiwało, bo ona dalej po tych przesłuchaniach jest w wymienionych komisjach wysokim urzędnikiem. Niemożliwe, że jej groziła kara śmierci i już był gotowy wyrok, tylko ktoś to zauważył – żona szefa MSW, którą ona ratowała. To są historie, które mają się nijak do rzeczywistości. A rzeczywistość jest taka, że według nowych kryteriów, które przyjęła obecna władza, Sendlerską należałoby zdekomunizować. Zabrać jej wszystkie skwery, ulice. To jest szalenie niewygodne i dlatego dalej będzie trwała mitologia Sendlerskiej, że była polską katoliczką, która pomagała Żydom, bo takie pomniki chcemy teraz wystawiać. A przecież była komunistką powojenną. Była taka dyskusja w radiu w sprawie mojej książki, w której brał udział Dariusz Stola, dyrektor Muzeum POLIN. Zapytano go, co wydawało mu się najbardziej interesujące w książce. Zdawałoby się, że dyrektora POLIN najbardziej zainteresuje to, co dotyczy historii Żydów. A on powiedział, że najciekawsze jest to, że Sendlerska należała do partii komunistycznej. To było dla niego wielkie odkrycie, ponieważ on – zresztą ja podobnie – generalnie nie poważał ludzi, którzy byli w partii komunistycznej i byli aktywni w okresie stalinizmu. To znaczy – mówił Stola – że musi zrewidować cały swój pogląd na ten okres, ponieważ Sendlerska jest dla niego wzorem moralności i jeżeli ona

to robiła, to widać, że nie po to, by mieć szofera, dobra materialne, tylko z przekonania. Jeżeli osoby tak szlachetne, wzorzec z Sèvres moralności, były w stanie wstępować do partii komunistycznej i w to wierzyć, to byli też tacy ludzie i ja muszę (mówi Stola) zrewidować mój pogląd na ten okres.

Zastanawiałam się też nad pragmatyzmem Sendlerowej, nieustannie przekuwającej nawet w najtrudniejszych okolicznościach to, co sobie zamysliła, na działanie. Jest jakaś sprzeczność między tym pragmatyzmem, bardzo czytelnym, i tym, że idee równości, wolności, idee lewicowe ją porywają. Ona generalnie idzie za głosem serca. Bo i w miłości bywa szalona. Co się musiało stać, że Sendlerowa jako starsza pani przystała na tę możliwość bycia ikoną katolicką, coraz bardziej przykrojoną do zmieniających się, wyescalowanych potrzeb?

Lubiła grzać się w świetle cudzego uznania. To powiedziała mi Anna Mieszkowska, jej pierwsza biografka, że kiedy w weekend mniej osób odwiedzało Sendlerową – bo przecież duża część wizyt składała się z oficjeli, a to delegacja żołnierzy izraelskich, ambasadorowie, ministrowie, przeróżne stowarzyszenia – ona się gorzej czuła niż wtedy, kiedy w tym jej niewielkim pokoju u bonifratrów gromadzili się ludzie. Jej na tym jakoś niesamowicie zależało. I wiedziała jak, świadomie czy nieświadomie, mieścić się w tej roli. I ona też się bała, tak jak bało się wielu Żydów po wojnie. To naturalne, że takie zjawisko musi występować u Polaków, którzy ratowali Żydów i identyfikowali się z ich losem.

Taki rodzaj przeniesienia następował...

A może też czasem u bohaterów odwaga się wyczerpuje: ona już tyle tej odwagi zużyła w czasie wojny. Sendlerowa po wojnie jest ewidentnie przestraszonym człowiekiem. Myślę, że bała się, że jak cokolwiek się zaburzy z tej misternej konstrukcji, na przykład okaże się, że to nie jest dwa i pół tysiąca dzieci, czego się kurczowo trzymała, albo okaże się, że miała męża Żyda, to wszystko runie. I dlatego chciała się dopasować do tego, czego się od niej oczekuje. Przecież jej poziom lęku był taki, że w 1968 roku dzwoniła do swoich podopiecznych, że może ich ukryć, do swojej łączniczki, że zakłada nową Żegotę. Uważała, że jej dzieci nie zdały na studia, bo ratowała Żydów. W 2000 roku uważała, że nie można napisać, iż jej mąż był Żydem, bo wnuczka nie zostanie dopuszczona do matury. To ja, która piszę od lat o stosunkach polsko-żydowskich i nie mam dużo złudzeń, gdy chodzi o skalę rodzimego antysemity-

zmu, jednak wiem, że nie ma takiej możliwości, by dziecko nie zostało w dzisiejszej Polsce dopuszczone do matury, bo dziadek był Żydem albo babcia ratowała Żydów. A ona naprawdę w to wierzyła i naprawdę się bała.

Nasylenie lękiem było tak silne, że osiągało poziom krytyczny?

Tak, do tego stopnia, że się generalizuje ten lęk, że dotyczy on wszystkiego.

Jeszcze chciałabym zapytać o momenty trudne w pisaniu książki, kiedy następowała konfrontacja z uratowanymi. Pani pytała te osoby, korzystała z ich pism. Michał Głowiński, Bieta Ficowska. Najtrudniejszy był chyba ten moment konfrontacji z Ficowską, kiedy ona nie godzi się na pewne ustalenia i w jakiś sposób odmawia współpracy.

Od lat znam Elżbietę Ficowską i szalenie ją lubię. Ona się cały czas zastanawiała, czy to dobrze, czy źle, żeby o tym pisać – „ale może, Aniu, lepiej nie”. Ale jak jej oddałam do autoryzacji tekst, ona go zautoryzowała. Później powiedziała, że się jednak waha, znowu siedziała nad tekstem kilka tygodni i znów zautoryzowała. Rozmawiała z fotoedytorką, dała nam zdjęcia, prosiła o umieszczenie fotografii jednego chłopczyka, który występuje z nią na zdjęciu, ponieważ myśli, że ten chłopczyk też był Żydem. Bardzo z nami miło współpracowała i nagle coś się stało, ale to już się stało poza mną, bo nawet Elżbieta do mnie nie zadzwoniła, tylko do wydawnictwa. A potem się wycofała. Prawnik wydawnictwa powiedział, że nie można wycofać autoryzacji. Ale ja uznałam, że to nie dotyczy dzieci Holokaustu. Trudno mi to zrozumieć.

Jakiś rodzaj tąpnięcia?

Tak, tąpnięcia. Zadzwoniłam do Biety i ona powiedziała, że nie można pisać, że Sendlerowa nie uratowała dwóch i pół tysiąca dzieci, bo są przecież szkoły jej imienia, nie można pisać, że była komunistką, bo wiem, co teraz się myśli o komunistach. A mnie się wydaje, że strasznie źle wciskać dzieci w taką nieprawdę i fałsz; tym bardziej przy tym, co się teraz mówi o komunistach, by te dzieci wiedziały, że bohaterka polska była komunistką, to trochę rozszerzy, skomplikuje obraz, każe pomyśleć. Nie przyjmuję racji Ficowskiej, nie zgadzam się z nią. Trudno. Ale przecież przyznaję jej prawo do swoich poglądów. To nie był jednak najtrudniejszy moment w mojej pracy. Bardzo trudne były i w sprawie Jedwabnego, i Sendlerowej roz-

mowy z ludźmi, którzy przeżyli Holokaust w sposób świadomy. To nie dotyczy Biety Ficowskiej, która miała sześć miesięcy i została potem uratowana przez jedną jedyną osobę, panią Bussoldową, jej przybraną matkę – i była tam u niej jak pączek w maśle. Ale większość dzieci miała straszne przeżycia. Nawet w rozmowie z Michałem Głowińskim, który przecież to wiele razy opisał, widziałam, ile go to kosztuje. Gdzie jest ta granica, o co jeszcze mogę dopytać? Wiem, że potem ci ludzie nie śpią w nocy i że im się to przypomina. Jestem z wykształcenia psychologiem wychowanym w latach 70. na psychologii humanistycznej. Uważaliśmy, że najważniejsze, by człowiek się otworzył, że jak się otworzy i zacznie opowiadać, to już jest początek drogi do wyleczenia. Ja z takim podejściem rozmawiałam w Jedwabnem, wierząc, że pomogę moim rozmówcom tym, że z nimi rozmawiam. I potem zobaczyłam: jednym pomagam, drugim – nie. Pamiętam pana Meira Ronena, który potem nie spał i przez całe noce wszystkie najgorsze wspomnienia wracały do niego. Pamiętam rozmowę z Awigdorem Kochawem, który wielokrotnie się ze mną spotykał i za każdym razem mówił to samo, co już napisał w *Jad wa-Szem*. Słowo w słowo, jakby recytował kilkadziesiąt stron, bo to były rozmowy wielogodzinne. On się zamknął i widziałam, że jak mu zadaję jakieś pytanie, to go wybijam z tego ciągu i on po prostu zaczynał się dusić, a miał raka krtani.

Ale też to pewnie działało psychosomatycznie.

Tak, reagował psychosomatycznie.

Byłam na ogłoszeniu wyników konkursu prac magisterskich im. Jana Józefa Lipskiego, jako promotorka, z laureatką, Darią Nowicką, która pisała o Jerzym Ficowskim. Bieta Ficowska tam przyszła, a profesor Michał Głowiński był jurorem. I oni ze sobą rozmawiali o zwykłych rzeczach. To było dwoje dzieci uratowanych przez Sendlerową. Wystarczyłoby, żeby były te dwie osoby, a przenoszenie tego na wielkie liczby jest buchalterią. Za każdym razem jest pojedyncza osoba i druga, i trzecia, i piąta, i one się znają, spotykają. To niezwykłe wzruszenie, które tkwi na zapleczu pisania o osobie ratującej, że są to pojedyncze życia i każde jest ważne.

Pewnie, każda z historii jest poruszająca. A te liczby biorą się z przekonania, że jest tak strasznie ważne, co zagrażone a nas pomyśli. Muszą być wielkie, żeby się przebić. I rzeczywiście Sendlerowa się przebiła, dlatego że była mowa o dwóch i pół tysiąca uratowanych dzieci. Dwa razy więcej niż Oskar Schindler. Kiedy się patrzy na strony in-

ternetowe, to na amerykańskich jest najczęściej: „Kobieta, która uratowała dwa razy więcej osób niż Schindler”. Do szerzenia propagandy o skali polskiej pomocy taka liczba jest bardzo przydatna, ale do powiedzenia prawdy o Holokauście nijak się ma. Przed wojną było w Polsce ponad milion żydowskich dzieci, a na terenach pod niemieckim panowaniem przeżyło pięć tysięcy. To są też dzieci uratowane w Auschwitz, ocalone w obozach pracy w Niemczech, więc pomyśl, że jedna kobieta uratowała połowę z nich... Ta liczba zakłamuje nie osiągnięcia Sendlerowej, bo jej odwaga i osiągnięcia są niepodważalne. Wystarczy uratować jedno dziecko, żeby uratować cały świat. Tylko zakłamuje Holokaust.

Czy nadszedł w Polsce czas pisania i czytania trudnych lektur? Pytam dlatego, że spełnia się znów Norwidowska fraza: „Jesteśmy żadnym społeczeństwem, jesteśmy wielkim sztandarem narodowym”. Coraz bardziej łopocze, coraz bardziej się potwierdza. Takie lektury jak *Pani książki* są doceniane, nominowane do nagród, ale też traktowane jako pożywka dla mowy nienawiści... Czy to jest czas, kiedy tym bardziej trzeba pisać rzeczy trudne, bo to nie pozwala nam trwać w poczuciu, że tak jest dobrze? Czy trudne lektury spowodują, że się nie homogenizujemy do końca?

Mnie się wydaje, że każdy czas jest dobry. Oczywiście, teraz jest dużo gorszy niż w 2000 roku, kiedy był rozgłos wokół książki Grossa *Sąsiedzi*, ale przecież wtedy też ta książka przebijiała się bardzo ciężko. To znaczy, że trudne tematy są trudne w każdym czasie. Mam poczucie, że my, którzy się tym zajmujemy, czy też osoby, które nas wspomagają, robią z nami wywiady i przyznają nam nagrody, jesteśmy coraz bardziej samotnymi wyspami w morzu obojętności na wszystko, co nie dotyczy właśnie łopotania na sztandarze rdzennej polskości...

To wynika z konformizmu, z bezmyślności?

Chyba z tego, że w każdym z nas są dobre i złe instynkty i że politycy mają bardzo duże umiejętności wydobywania tych złych. To, co się teraz wydobywa z Polaków, to są resentymenty, poczucie urażonej dumy; wzmacnia się wszystko, co jest złe – brak empatii, strach. Łatwo uruchomić tę gorszą część naszego ja i trzeba być bardzo świadomym, żeby samemu się nie dać podpuścić, jak nie na to, to na coś innego. To wymaga pracy.

Chciałabym jeszcze zapytać Panią o fotografię. Od początku towarzyszy ona – w dużej skali – Pani tekstom.

I jakoś te teksty owija, otula. Tak było w *My z Jedwabnego*, oczywiście z okładką pierwszego wydania: z tym negatywem, wyklejkami; zaczynało się od fotografii, kończyło na fotografii. Najpierw żywe osoby, potem zamordowane. W *Sendlerowej* zdjęcia wyjmujące z cienia. Bo tak jak w cieniu Korczaka nikną Stefania Wilczyńska czy Estera Winogronówna, tak w cieniu *Sendlerowej* – inne osoby. Mówimy: *Sendlerowa i... współpracownicy. Czy fotografia jest dla Pani szczególnie ważna?*

Tak. Wybór fotografii zajmował mi zawsze morze czasu. Akurat w przypadku *Sendlerowej* pracowało nad tym wydawnictwo w konsultacji ze mną, ale w sprawie *Jedwabnego* to były moje własne poszukiwania. Kiedy coś piszę, to wpatruję się w fotografię. Jak opowiadam o dzieciach, ważne jest, żeby znaleźć jakkolwiek ich fotografię jako dzieci, a nie dorosłych. Bo gdy patrzymy na twarz osoby osiemdziesięcioletniej, to widzimy kogoś innego, nie małą dziewczynkę, którą wtedy była. To jest zupełnie inna opowieść. Ludzie, których *Sendlerowa* uratowała, dawali mi swoje dorosłe zdjęcia z nią i bardzo chcieli, żeby je umieścić. A to, o czym opowiadam, to nie jest ta historia. Chodzi o tę historię, kiedy oni są małymi, samotnymi, pojedynczymi dziećmi. Fotografia ustawia tekst, pozwala nam się wczuć.

Może fotografia nawet dociera pierwsza. Bo wiele osób najpierw książkę wertuje. Widzi małego, ślicznego chłopca, to jest Michaś Głowiński, a dorosły pan profesor zupełnie inaczej wygląda. Czyli jest transmisja między osobą, która patrzy na fotografię i pisze, a tym, kto czyta i kto zaczyna od zdjęcia...

Tak, dlatego tu nie ma żadnego zdjęcia dorosłych uratowanych.

Na koniec chciałabym zadać dwa pytania najbardziej osobiste. Pierwsze brzmi: co to znaczy dzisiaj być Żydówką/Żydem w Polsce? Pani pisze o odkrywaniu własnej żydowskości w *My z Jedwabnego*, to jest wątek równoległy, jakby podwójnie traumatyczny, ale też radosny, niezwykle. W tej Polsce, w której określa się *Sendlerową* jako Polkę ratującą Żydów, Sprawiedliwą, i jednocześnie wyklucza się ją jako niebezpieczną komunistkę, okropną filosemitkę – co to znaczy?

Ja mogę powiedzieć, co to znaczy dla mnie. Wielu Żydów czy osób żydowskiego pochodzenia jest częścią społeczności Żydów polskich. Ja nie, nie mam skłonności do przynależenia do zbiorowości. Gdy słyszę o stosun-

kach polsko-żydowskich, to sobie myślę: jakie „stosunki polsko-żydowskie”, gdzie są ci Żydzi, to chodzi o stosunki polsko-polskie. Czuję się częścią dialogu polsko-polskiego, czy też braku tego dialogu. Natomiast główną częścią mojego żydostwa jest to, że moja babcia zginęła w getcie, i pamięć o innych ludziach, którzy ginęli w Holokauście. Właściwie to jest mój punkt odniesienia, gdy coś piszę, a nie moje pokolenie i Żydzi, którzy dziś żyją. Wszyscy jesteśmy Polakami, tylko mamy różne korzenie. Bycie Żydem oznacza dla mnie, że się jakoś poczuwam do państwa Izrael, bo strasznie się denerwuję tym, co się tam dzieje: że jest okupacja i że jest tak prawicowy rząd. Jeśli mnie denerwuje, to znaczy, że się jakoś poczuwam. Ale to chyba dlatego, że moja córka Ola tam mieszka. Natomiast ta cała moja identyfikacja to jest z duchami.

Wiem, że pytam o to tuż po świeżo napisanej książce, ale uczestniczę w ciekawości wszystkich Pani czytelników: czy coś nowego się kluje?

Po pierwsze, skończyłam książkę, która wyjdzie jesienią, o Jacku Kuroni, biografie, grubą, którą pisałyśmy – w pierw z Joanną Szczęsną, potem Joanna się wycofała, od lat pracowałam nad tym z Heleną Łuczywo, ja z przerwami, Helena – cały czas. Za chwilę wysyłam trzy rozdziały do wydawnictwa. Przypisy do *Sendlerowej* to jest nic wobec liczby przypisów przy *Kuroni* i w stosunku do tego, co przeczytałyśmy w jego sprawie. Teraz to czytuję i to jest jakieś szaleństwo wykonanej pracy, i już sobie obiecuję, że nigdy, nigdy tak pracowitej książki. Praca nad biografią Kuronia bardzo mi się przydała, bo cały czas czytam o Holokauście, a to jest jak łyk świeżego powietrza – móc opowiadać o tak fantastycznej postaci jak Jacek. To mnie trochę odbudowało. Skończyłam biografię Jacka, zabrałam się z powrotem za moje ciemne tematy, jestem na wstępnym etapie zbierania materiałów do książki o dzieciach po wojnie wykupywanych przez żydowskie instytucje od Polaków, głównie od polskich chłopów.

Bardzo dziękuję, to było dla mnie wielkie przeżycie, że mogliśmy rozmawiać – po mojej ogryzmołonej lekturze Pani książek. Zawsze bardzo dużo w nich znajduję.

Dziękuję bardzo. •

Warszawa, 16 maja 2018